

Henryk Posadowski
ul. Noworudzka 8
57-256 B a r d o

© ARCHIWUM Wschodnie

U/864

K R E S Y W S C H O D N I E 1939 - 1945

B A R D O
29. 10. 1992 rok

Urodziłem się 8 września 1931 roku w Zaleszczykach nad Dniestrem. Do 13. 08. 1945 roku mieszkałem na Starych Zaleszczykach przy ulicy Morelowej 12a, niedaleko mostu pieszego z jednej i Plaży Cienistej z drugiej strony. Na wzgórzach prawego brzegu Dniestru rozciągała się rumuńska Dźwiniaczka z posterunkiem straży granicznej, Kryszczytkiem i prawosławną cerkiewką z cudownym źródłem, którego właściwości ściągają letników z naszego, polskiego brzegu rzeki.

Latem 1939 roku miałem swoje pierwsze i, jak się okazało, ostatnie wakacje w wolnej Polsce. Do miasta jak zwykle ściągnęły rzesze letników, ale w miarę upływu dni sierpniowych nastroje wypoczynku i kanikuły zaczęły ustępować niepokojom, obawom, lękom, wreszcie strachowi, który po wydarzeniach pierwszych dni września przerodził się w panikę. Letnicy, jedni w popłochu wyjeżdżali do swoich domów, drudzy dołączali do z dnia na dzień gęstniejącej i wydłużającej się kolumny uchodźców tłoczących się na moście w drodze do Rumunii. My, dzieci miejscowych rodzin w każdej nowej twarzy upatrywaliśmy s z p i e g a, starsi obawiali się prowokacji i zaczęli robić, choć bez większego przekonania, zapasy żywności. Tatusz z koszar stacjonujących w mieście ułanów, gdzie wykonywał jakieś prace, jeszcze w sierpniu przydźwigał olbrzymi wór bułek, a oboje z mamusią, która była sanitariuszką PWK, ze swoich oddziałów samoobrony przynieśli do domu maski przeciwgazowe. W mieście wrzało coraz bardziej. Szesnastego września przewinęli się przez Zaleszczyki członkowie Rządu z ministrem Beckiem(?) na czele. Zatrzymali się na krótko z noclegiem w pensjonacie Hellenówka, i już przed świtem nie było ich w mieście. Zostawili za sobą rozczarowanie i gorycz mieszkańców, którym minister Beck zamiast uznania za żarliwą gotowość służb dla kraju okazał rezerwę, dys-tans i nieuzasadnioną nieufność. Podobno w tym samym dniu u sąsiada za miedzą (Romanko) mieli popasać żołnierze eskortujący polskie złoto.

Po południu 17 września przeżyliśmy pierwszy w tej wojnie nalot bombowy. Ulga i rozczarowanie: gazów nie użyto! Za to inna niespodzianka. Samoloty, które zrzuciły pierwsze bomby, miały na skrzydłach i kadłubie czerwone gwiazdy. Nie zrobiły większej szkody. Atakowały z dużego pułapu i bez powodzenia zatłoczony uchodźcami most na Dniestrze. Jedyną ofiarą nalotu był stary Żyd Lewin (skład opału i materiałów budowlanych), który wraz z synami zdecydował się właśnie na ucieczkę do Rumunii. Zmarł na serce w czasie przeprawy przez most.

W czasie nalotu bardzo nisko, tuż nad drzewami przemykały się na drugą stronę rzeki nasze maszyny RWD-6, z których rozpoznawania byłem bardzo dumny.

Nazajutrz na moście nie było żywej duszy, a nieco bliżej ku naszemu domowi, tuż u wylotu ulicy Ogrodowej stał pierwszy widziany przeze mnie na żywo, otoczony ludźmi w "wyszywankach" czołg. Z otwartego luku

sterczała zamocowana pod hełmofonem szeroko uśmiechnięta gęba krasnoarmiejca. Takimiż samymi roześmianymi radośnie gębami wykwiwały ku czołgocie barwne wyszywanki. Choć ciekawość brała zobaczyć, instynkt kazał ominąć malowniczą grupę z daleka. Wkrótce potem do przechodzącej tamtędy mojej mamy podbiegła od strony czołgu jedna z rozentuzjasmowanych bab, nb. dobra znajoma, i wywijając przed nosem wskazującym paluchem zawołała: "O, wże dołsze ne budete panuwaty!"- I rzeczywiście. Nad miastem zapanował na długo wszechogarniający, niesamowity smród dziegciu i czegoś tam jeszcze, co się snuło za każdą kolumną żołdacką i wisiało nad ziemią po jej przejściu niczym pogłos równie obrzydliwych pieśni.

Zaczęła się okupacja, którą z niezrozumiałych uczciwym ludziom powodów kazano nazywać wyzwoleniem. Przycupnęliśmy w swoich czterech ścianach, by trawić gorycz, która stała się naszym udziałem, gdy tymczasem od Ukraińców zalatywało radosnym: "Jak Polaki utikały, ta utikały, ta hej!" Żydzi natomiast zabiegali gorliwie, by być jak najbliżej władzy i móc jej wskazać palcem, kogo trzeba. Gdzie się dało, wieszali czerwone flagi, portrety wielkiego wodza i nieznane dotąd "kozongi", na których marszałek Kliment Woroszyłow ustępował zawsze o pół kroku "batce" Stalinowi. Czerwonarmiści biegali po sklepach i wytrzeszczali oczy na nie schowane w porę towary. Kupowali za bezcen całe naręcza kiełbas i innych artykułów na zasadzie "co pod ręką", a ich kobiety z nigdy dotąd nie notowaną w kurorcie gracją obnosiły pozostałe po letniczkach nocne koszule, podomki i słoneczne parasolki, choć to już była jesień i mokro. Przy każdej ulicy wyznaczono dom, gdzie zganiano ludzi na tzw. mityngi. Gdzie trzeba i nie trzeba wystawiono warty, a tubylcy ze zdziwieniem i grozą reagowali na ich tyleż gromkie co niespodziewane: "Krugoom!" - Granicę z Rumunią oczywiście też zamknięto. Zorganizowano sieć stałych posterunków granicznych i uruchomiono patrole. Pobudowano zasieki na kozłach i spirale z drutu kolczastego. Przy szpitalu, gdzie przebywali ranni żołnierze polscy też wystawiono warty. Mimo to mamusia i inne panie gotowały posiłki i w olbrzymich garnkach nosiły do szpitala, by karmić rannych. Z początku nikt nie bronił paniom tych samarytańskich posług. Nagle gdzieś na przełomie września i października wartownik zatrzymał zdziwione kobiety przy bramie i dopiero obłaskawiony wódką kazał szybko podać jedzenie i uciekać. Zaintrygowane nową sytuacją mama wraz z innymi paniami szybko uwinęły się z robotą i pobiegły na strych domu przy równoległej ulicy, by przez wywietrzniki w dachu obserwować dziedziniec szpitalny. Zajechały kryte brezentem samochody. Zaczęto ładować rannych. Zdrowsi, popędzani przez Rosjan, wsiadali sami. Ciężej rannych ładowano, rzucając jednych na drugich, jak bierwiona. Tu nie chodziło o dalsze leczenie... Co się stało z tymi ludźmi?

Mityngi zaowocowały wyborami oraz referendum na rzecz przynależności Ukrainy Zachodniej do wspólnoty republik radzieckich. Ogłoszono, że kto zadeklaruje niemieckie pochodzenie i chęć wyjazdu do Rzeszy, znajdzie w tym względzie pomoc władz sowieckich. Ku naszemu zgorszeniu znalazły się takie rodziny, a wśród nich, co było dziwne, pan Hendel (wszystkie dzieci przed wojną należały do harcerstwa) i pan Szwarz, autor książeczki "Warunki klimatyczne Zaleszczyk". Podobno cały transport skierowano zupełnie w innym kierunku, a Wiluś Hendel zwany przez nas "Kurką" został wyrzucony z wagonu w zaspę śniegową przy szlaku syberyjskim.

Życie zaczynało się organizować. Kogo trzeba, aresztowano i ślad po nim zaginął. Męty społeczne zwerbowano do milicji (dziś w Polsce biorą emerytury za tę służbę), utworzono trzy narodowościowe niepełne szkoły średnie: ukraińską, żydowską i het za miastem przy stadionie szkołę polską. Aby było dziwniej, wszyscy poszliśmy do szkoły o klasę niżej, ja zaczynałem edukację znowu od klasy pierwszej. Nikt nie protestował.

Zlikwidowano sieć sklepów. Potworzono kooperatywy i artele. Pojawiły się kolejki i chleb, jakiego nikt przedtem nie widział: czarny, gliniasty, wyginający się ku dołowi, jeśli się go chwyciło za jeden koniec. Szczęściarzem był, kto po kilkugodzinnym maglu w kolejce zdołał go kupić. Sledzie solone i ryba suszona uchodzić zaczęły za rarytas. Sporo było marmolady z buraków cukrowych i zatrzęsienie chałwy tłustej i pełnej jakichś drucików. W naszym domu stanął kwaterą sierżant Mikołaj Chudziński, podobno Polak zruszczony w porewolucyjnych domach dziecka. Okazał się znośnym lokatorem i przyzwoitym człowiekiem. Mieszkał do czerwca 1941 roku. W kilku przypadkach był dla nas tarczą, skuteczną.

Tatusz znalazł zatrudnienie w Artelu "Czerwona Zirka" jako "techniczny rukowoditiel". Pojawił się nowy rodzaj przestępstwa "prohuł", przy czym i tzw. "prohulszczyk" i ten, co go krył narażeni byli na srogie kary. Myślałem, że nie tylko to było przyczyną, że ojciec dzień w dzień wracał z roboty, walił się jak długi w ubraniu na tapczan i gadał przez sen, aż strach było słuchać.

Orkiestra przedwojennego Stowarzyszenia "Gwiazda" otrzymała polecenie dalszego funkcjonowania i uświetniania licznych uroczystości. Nie trzeba dodawać, że repertuar był zupełnie nie dostosowany. Dziś może to brzmieć anegdotycznie, ale wówczas nie grać lub zagrać utwór "burżuazyjny" znaczyło takie samo nieszczęście dla zespołu. Przytrafił się np. pogrzeb jakiegoś bonzy. Najpierw pojawił się wezwany w trybie alarmowym kornecista, który dał samotnie w instrument, póki kolejno nie doszłusowali inni. Czujne ucho jakiegoś rewolucjonisty wyłowiło w marszu żałobnym Chopina wrogie tony burżuazyjne, więc kazano orkiestrze zagrać co innego, ale zagrać. Wkrótce nieboszczyk tańczył w rytm jakiegoś poloneza i na członkach orkiestry